

# Lew kamienny





ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## Lew kamienny

Wejścia do przystani jeziora Konstancyeńskiego w Lindau strzeże lew kamienny, zaparty w widniejące zdalekąd śnieżne szczyty Alp Vorarlbergskich.

Opowiem ci bajkę, dla której najmniejsze dzieci są za duże, aby w nią uwierzyć mogły.

— Owszem — rzekła, podnosząc tyle ciekawe, ile piękne oczy.

— Ukochał lew naprzód samotność, więc rozkoszował się i gęstwiną leśną, w której spoczywał tak osłonięty, że go często słońce nie widziało, i płaską, olbrzymim kręgiem w kopule nieba osadzoną pustynią, po której zwykle tylko wiatr chodził i wielkie garscie piasku z miejsca na miejsce przerzucał. Bo on jeden nie trwożył się i nie uciekał, usłyszawszy gniew króla zwierząt, a nawet miał odwagę zwichrzać lub głaskać mu grzywę i puszczać w wir płasające przed nim słupy kurzu. Tygrysy, jaguary, wszystkie drapieżce, równym przestrachem zdjęte, jak żyrafy, kozy, antylopy, małpy, o ile nie ginęły rozszarpane i pożarte, pierzchały z okolicy aż tam, gdzie ich przerażające ryki lwa najslabszym echem nie dobiegały.

Żył on więc tylko z samotnością, która mu rodziła niezliczone marzenia. Ale zwłaszcza jedno z tych dzieci umiłował. Szumem z wysoka na ziemię padającego wiatru, głosami z daleka przylatujących ptaków mówiło mu ono ciągle, że gdzieś po za widnokregiem wznoszą się olbrzymie góry, które w zawojach z chmur lub w koronach z promieni słonecznych wznoszą nad światem swe głowy.

Poszedł tedy lew dnia pewnego w kierunku, który mu jego marzenie wskazywało. Przebył długą drogę, przepłynął szerokie morza, a owych śnionych wyżyn nigdzie nie spotkał. Zmęczony bardziej zawodem, niż podróżą, gdy mu raz chmury nawet światło gwiazd zaćmiły, legł nad brzegiem jeziora, w którym utonąć zapragnął. Szczebotało ono do niego czule i wabiło go nęcącym szmerem swych drobnych fal:

— Ukolyszę cię, wypieszczę, ocałuję... Na mojem łonie zaśniesz w spokoju, którego ci życie nigdy nie da. Zejdź z dobrowolnej tortury na miękką pościel mojego kryształowego pałacu, przytul się do mojej piersi, która cię nigdy nie odepchnie i dla ciebie bić będzie. Szczęście jest nieczułością i zapomnieniem...

Ale u głowy tułacza siedziało skrzydlate marzenie, które mu przewodniczyło ciągle w wędrowce i które go teraz odciągało od tej pokusy.

— Nie wierz zdradzieckiej namowie. Nie ścigaj śmierci, bo ona cię goni. Ile razy zechcesz, stawi się natychmiast na twoje rozkazy: nie potrzeba jej prosić i wzywać, nie potrzeba po nią ręki wyciągać, bo ona stoi tuż przy tobie... Jesteś już u celu twych rojeń. Gdy ranek zasłony nocy pościąga i góry z mgieł omiecie, zobaczysz...

Lew powstał. Przez mroki dojrzał na drugiej stronie jeziora czarne ściany, ogromne skały czy mury, jak gdyby wynurzone z wody cielska potworów. Miałżeby on za nimi tęsknić, do nich dążyć?

Tymczasem posępne oblicze nieba zbladło; mroki rzedniały, nabierały coraz większej przezroczystości. Powoli zarysowały się rozmaite kształty w otchłani cieniów i występowały barwy z tła szarego. Wszystko, co noc stopiła w jedną czarną masę, zaczęło się wydzielać i wyosobniać.

Lew patrzył ciekawie na to budzenie się natury i jej rozdziewanie z szat nocnych. Na przeciwległym brzegu jeziora stała gromadka gór owiniętych w mgłę białawą. Jedna za

drugą, podejmując ku wierzchowi tę oponę, ściągały ją przez głowy i zawieszały na krawędziach skał wyższych. A gdy brzask rozlał w powietrzu jasność poranku, gdy na niebie zapłonęła luna, poprzedzająca wschód słońca, one już stały nagie i przeglądały się w jeziorze. Były to góry niskie, rodzajne, karmicielki człowieka, obwieszane kiściami ziaren i gronami jagód.

Lew je podziwiał, ale ciągle wzrok puszczał po za nie, dalej, gdzie stały inne, większe, z głowami zatopionymi w puchach obłoków. Jeszcze drzemały, gdyż dopiero dzień je budzi i odkrywa.

Nareszcie cicho i skromnie, jak gdyby nie było panem i żywicielem natury, szeroko rozwartą i niczem niezmaconą żrenicą wysunęło się na lekko wyłożony błękit nieba świeże, odmłodniałe słońce. Trącone jego promieniami wielkie, dotąd senne góry, zerwały szybko ze swych głów białe zawoje i oblały się strugami światła. Wtedy lew ujrzał widok czarujący. Na śnieżnym czole jednej z gór słońce zapaliło olśniewający dyadem, który błyszczał jak zwieszony z nieba łuk ognisty. Ramiona jej okrywał kołnierz gro-nostajowy, z pod którego ku dołowi zbiegał płaszcz ciemnego granatu, osyty futrem zielonych drzew i krzewów. Ze słońcem nad głową stała ona wspaniała i majestatyczna, jak królowa, przed którą inne w licznym orszaku pochyliły się i upadły na kolana.

Lew wskoczył na ocios głośno, wystający z jeziora, usiadł, patrzył na to urocze zjawisko i powoli w zachwycie kamieniał. A chociaż słońce, odchodząc wyżej na sklepienie niebios, zdjęło swe blaski z czoła góry, chociaż ona znowu owinęła się obłokiem, on ciągle na niej wzrok trzymał.

Nieruchomy, skamieniały, z obliczem w jedną stronę zwróconem, z uśmiechem upojenia i tęsknoty na odemkniętych wargach siedzi tak od lat wielu na bryle granitu u bramy przystani jeziora. Codziennie przepływają koło niego setki statków i tysiące ludzi, wre nieustanny gwar życia i pracy, przesuwały się coraz nowe obrazy — on nigdy na nie nie spojrzął, ani na chwilę nie odchylił ku nim głowy. Natura przebiera się w rozmaite widoki, czaruje wiosną, odurza latem, siecze deszczami jesieni, mrozi chłodami zimy — on tego wszystkiego nie widzi. Nieraz wybuchały koło niego pieśni wesela, nieraz rozszalała się burza: wicher wstrząsał jego podstawą, znurtowana woda opryskiwała mu oblicze, gromy huczały nad nim jak gryzące się lwy — on nie zmrużył powieki i nie odwrócił oczu od punktu, w którym je utkwiał. Spokojny i niewzruszony czeka ciągle chwili, kiedy góra, którą ukochał, znowu odgarnie swe zasłony, a on ją w koronie strzelającej promieniami światła pierwszy zobaczy.

I co w niej tak umiłował, że oczarowany nią skamieniał? Czy to, że tak wysoko ponad inne się wzniosła? Czy to, że blaskami słońca tak wdzięcznie się stroi? Czy to, że głowę na niebie oparła i nigdy śnieżnego czoła pyłem ziemskim nie opruszyła? Czy za to, że wielka, czy za to, że niepokalana, czy za to, że w światła natury zbliska spogląda?

Nigdy na te pytania nikomu nie odpowiedział, bo stawszy się głazem, jak głaz milczał.

Tylko czatownik latarni jeziora twierdzi, że pewnej nocy słyszał, jak lew przemówił do jakichś cieniów, które po falach do niego przyszły i dziwnym głosem z odrętwienia go zbudziły. Słowa jego wszakże nie wiązały się w żadną treść zrozumiałą. Mówił, że żyje, myśli i czuje, ale skamieniał na wszystko, co spodem świata się toczy, że cierpi, gdy mu chmury promienny szczyt przesłonią, ale te smutki roztopia mu w rozkosz jedna chwila widzenia góry w jej majestacie, że największem szczęściem jest zawieszenie wzroku na wysokości, do której kurz walk padołu nie sięga i która nie mdłymi ognikami nizin, ale blaskami podniebia gorzeje. Ten tylko między ludźmi był rozumnym, zadowolonym i szczęśliwym — wyszeptał w końcu — kto tak, jak ja, kochał i kto do przedmiotu swej miłości nie zbliżył się bardziej, niż na odległość kochania.

Szeroko wieść rozniosła te słowa, które usiłowano złożyć w jasne rozwiązanie zagadki — ale daremnie. Lew pozostał sfinksem.

Siedzi on dotąd kamienny na kamiennym zrębie i patrzy w zachwyceniu ku górze, czy ona płaszczem się otuli, czy rozodziała z cieniów uroki na jego oczy rzuca. Zdaje się, że widzi on coś duszą nawet wtedy, kiedy wszyscy nie mogą niczego dojrzeć wzrokiem. A ponieważ znudził ludzi swem osłupieniem, więc uznali, że nie żyje, a jego rozmowa z cieniami czatownikowi się przysniła.

— A ty jak sądzisz? — spytała słuchaczka.

— Ja sądzę — odrzekł — że w bajce wszystko jest możliwe.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lew-kamienny/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świętochowski, Bajki [Pisma, T. III], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1897].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0834-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.